OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 26 Kwietnia / 7 Maja 1867 roku.

Nr 19. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.



Andrzej Johnson.

Od Redakcji.

Przypominamy czytelnikom pisma naszego, że wszystkie dzieła nakładowe Gazety Rolniczej, odstępujemy za pół ceny prenumeratorom Opiekuna Domowego; że nowi prenumeratorowie, którzy zapisali się lub zapiszą od 1-go Kwietnia r. b. mają prawo otrzymania darmo wszystkich N-rów Opiekuna z Kwartału I-go r. b. w których zamieszczoną była po-

wieść „*Dziwni ludzie*,” że posiadamy zapasowe zbroszurowane egzemplarze *Opiekuna* z 1865 i 1866 roku (Tom I i II), które pojedynczo po rub. sr. 3, oba razem za rub. sr. 5 odstępujemy,—i że w tych dniach nakładem naszym opuściła prassę drukarską książeczka **„Prawdziwa historja Antoniego Kostura”** spisana z Pamiętników jego przez *Grzesia z Mogiły*, ozdobiona kilkunastu rycinami, która w handlu księgarskim kosztuje pół rubla, a dla prenumeratorów Opiekuna Domowego, za zgłoszeniem się *wprost do Redakcji*, za pół ceny odstępowaną będzie.

ANDRZEJ JOHNSON.

Poza obszernemi wodami Atlantyku, w drugiej nowej części ziemi, istnieje obszerne państwo liczące miljony mieszkańców, słynące bogactwy nad ludy starego świata, szanowane przez wszystkich a groźne nawet dla najpotężniejszych państw, znanych już szeroko wówczas, gdy tamtego jeszcze zaczątków nawet nie było. W państwie tym przewodzi mąż znany po świecie całym; prowadzi on wielkie wojny, zawiera najtrudniejsze traktaty i z niezachwianą energją rządzi krajem całym. Domyślacie się może że państwem tem są Stany Zjednoczone północnej Ameryki, a tym mężem stojącym na czele ich zarządu—jest obecny prezydent Andrzej Johnson. O Ameryce słyszeliście nieraz jako o kraju bogatym, jako o kraju gdzie wielu waszych znajomych lub krewnych przemieszkiwa i jako o kraju zkąd czasami przychodzą do nas wielkie sukcessje czyli spadki. O Johnsonie, jeżeli czytacie gazety, takżeście może coś zasłyszeli. Ale nie wiem czy wiadome wam jest, że ten wysoki urzędnik stojący na czele zarządu państwa liczącego przeszło 30 miljonów mieszkańców, jest z zatrudnienia krawcem.

Krawcem? zapytacie. A zkądże on do tego mógł przyjść? przy warsztacie, z igłą, naparstkiem lub żelazkiem w ręku? Tak jest, mógł przyjść, przez pracę, szedł do celu powoli ale wytrwale, cicho ale energicznie, z wiarą i nadzieją. O każdą kroplę wiedzy musiał iść przebojem. Los zasłał mu drogi kwiatami. Rodzice jego byli ubodzy. Ojciec odumarł go w czwartym roku życia; matka także była w biednym stanie, tylko że go wyżywić zdołała. O nauce i mowy nie było.

W dziesiątym roku życia, matka oddała Andrzeja do krawca na naukę. Uczył się tam szyć, krajać, mierzyć, ale o Bogu, o swoim kraju, o moralności i obowiązkach, nikt go nie nauczył. Nie chodził do szkoły, bo szkoły żadnej naówczas w owej mieścinie nie było. Przypadek atoli zdarzył, że słaby promyk światła przedarł się do umysłu młodego robotnika.

W mieścinie owej mieszkał pewien jegomość, którego nazywano dziwakiem. Miał mały kapitalik i z procentu opędzał swoje potrzeby. Nie smakował ani w ucztach, ani w strojach, ani w rozrywkach, ale zawsze i wszędzie głosił, że potrzeba się uczyć, a nie czas marnować. Zajrzał raz do majstra u którego pracował Johnson i dowiedział się ze zgorszeniem, że prawie wszyscy robotnicy nawet czytać nie umieją. Brał więc książki, przychodził zniemi do warszatu i czytywał je robotnikom. Johnson odrazu poczuł ogromną chęć do nauki. Nuż w prośby do jednego czeladnika, aby go nauczył abecadła. Ów dziwak jegomość nauczył go składać litery i dał mu książkę do nauki. Odtąd Johnson na czytanie obracał godziny nocne i przy wielkiej wytrwałości, nauczył się czytać nareszcie, prawie sam. Wypisawszy się na czeladnika, osiedlił się w miastaczku Greenville w Ameryce i założył warsztat. Matkę wziął do siebie. Wkrótce ożenił się, a żona nauczyła go pisać i rachować. Lecz że bieda gnała do pracy, musiał więc w nocy tylko pracować nad książką, kajetem i liczbami.

Ale od tej też chwili rozpoczyna się jego powodzenie. Nauka wypłacała mu się sowicie. Nasamprzód wybrany został ławnikiem w owej mieścinie, potem wójtem, następnie posłem, a w kilka lat później został senatorem, mając zaledwie 33 lat życia. Taż sama energja czynów, wytrwałość w zasadach i rzetelność w postępowaniu, połączone z bystrym poglądem na sprawy publiczne—otwierały mu wrota i do dalszych posad, tak że w 56 życia został wybrany prezydentem ogromnego państwa; on syn ubogich robotników, on czeladnik krawiecki, on co w 15 roku życia nieznał jeszcze abecadła, a co w 20 roku nie umiał jeszcze pisać, a wiecie dla czego? dla tego: że *wszystko zdobywał sobie sam*, własną ciężką pracą, własnym zapałem, gorącą miłością społeczeństwa, niezmierną zdolnością i prawdziwie godną podziwu wytrwałą energją pracował—i Bóg mu dopomógł. Oby dużo takich pracowników liczyły wszystkie narody.

Jan z Ojrzycy.

DZIEJE KARTY PAPIERU. [1])

Z początku było nasienie lniane,
Długie, błyszczące jak krople łezki;
Wrzucił je wieśniak w skiby orane,
Pokropił rosą deszczyk niebieski,
Z ziarnka wytrysły deszczem skropione,
Na czarnych skibach kiełki zielone.

Dał Bóg doczekać majowych chwilek,
I trawki rosną i kwiatki kwitną:
Z lnianego ziarnka wyrosł badylek
I na wierzchołku zakwitł błękitno,
Z wiatrem się chuśta, w górę się jeży,
Jak kędzierzawe kity żołnierzy.

Dał Bóg doczekać ciepłego lata,
Goręcej codzień i co godzina;
Złoci się kłosem niwa bogata,
Lniany badylek żółknąć poczyna:
Pożółknął listków kędzior bogaty,
Wiatr poobrywał błękitne kwiaty.

Dał Bóg doczekać pięknej jesieni,
Mórg się już pokrył siatką pajęczą;
Na lnie się główki złocą, zielenią,
Na przyszły posiew ziarnka w nich brzęczą:
Dojrzejcie prędzej o główki lniane!
Czas już podebrać siejby wiośniane.

Przyszły len zebrać dziewczęta z sioła,
Płynie nad polem ich pieśni nótka,
Czy się z lnu tego cóś do kościoła,
Czy się weselny podarek utka?
Czy płótno będzie służyć dziecinie,
Czy umarłego zwłoki obwinie?

Byłto mórg dworski — „mała pociecha,
Że zarodziła praca rolnicza!”
Tak szepcą kmiotki — pan się uśmiecha,
Bo swoje przyszłe zyski oblicza,
I z główek ziarna wymłacać każe,
I lniane snopki kłaść na poparze.

[1]) Wiersz ten niedokończony otrzymaliśmy przez pośrednictwo pana Bolesława z Zacisza, który utrzymuje, że go odpisał z papierów jakie po śmierci *Syrokomli* (Kondratowicza) pozostały, i że utwór ten nigdzie jeszcze niebył drukowany. (*Przyp. Redakcji*).

Na chłodnej ziemi tuż po za dworem,
Lniane badyle porozściełano;
Zimna je rosa skrapia wieczorem,
A mgła jesienna odwilża rano.
Czasem płaczliwy deszczyk przypruszy,
Czasem chłodnawe słonko osuszy.

Listopad niebo ciemną zasłoną,
A ziemię przykrył białą szarugą;
Lniane badyle w snopki złożono,
W dusznej cieplicy suszono długo:
Tarto w narzędziach, czyszczono ręką,
Aż wyłuszczyli lniane włókienko.

Wiejskie dziewczęta co len sprawiały,
Gdy im kostrzyca wygryza oczy:
Przyrównywały ów warkocz biały,
Do złoto-rusych swoich warkoczy,
Aż lniane włókno pracy ich siłą,
I blask i miękkość równą nabyło.

Dziewczęta pieją — przy terlic brzęku
Litewskiej pieśni znów płynie nutka:
„Czy z ciebie miękki błyszczący lenku,
„Ktoś do kościoła ofiarę utka?
„Czy na podarek ślubny dziewczynie?
„Czy ktoś zmarłego zwłoki obwinie?"

Ani do trumny, ni do kościoła,
Ni na podarek dla panny młodej!
Oto nastała wiosna wesoła,
Niemen potargał swe grube lody:
Płynie wicina — a na wicinie,
Towar litewski na Bałtyk płynie.

Grzmotaj że flisie wiosły szybkiemi,
Niechaj cię wiedzie pańska opieka!
Bo tam na płody Litewskiej ziemi
Dawno Brytańczyk i Niemiec czeka:
Czeka nad morzem ciżba nie syta,
Naszej pszenicy, naszego żyta.

W Pruską granicę wpływa wicina,
Jedna przed drugą czynią gonitwy;
I wita flisa piękna kraina,
Co niegdyś była siostrzycą Litwy!

Ragnetę, Tylżę statek wymija,
Niemen wspaniale łono rozszerza;
Pieszczona Niemna córka Wilija,
Roztacza piękne swoje wybrzeża:
Flis dał kierunek swojej żegludze,
Po obcej wodzie w krainy cudze.

Niemen na prawo płaszczystym krajem,
Wicina w lewą skręca się stronę:
Sternik wiciny starym zwyczajem,
Chleb i sól rzuca w nurty spienione;
Tak się rozchodzą w dwa krańce świata,
Po staroświecku brat żegna brata.

Niemen w dalekiej pobiegł przestrzeni,
Sternik zapłakał z gorzkim wyrazem:
Nie dziw — na jednej ziemi zrodzeni,
Po łąkach Litwy hasali razem.....

Władysław Syrokomla.

PAN HERBACJUSZ.

Szkic niefantastyczny.

(Dokończenie.—Patrz Nr. 18).

Kiedy pan Teofil wszedł do pokoju cioci, zastał ją zatopioną w kombinacjach pasjansu, pasjans zaś przepowiadał: że młodzieniec oświadczy się, że uzyska wzajemność, że wygra wielki los na loterji, że bogato się ożeni, że otrzyma spadek i że w chwili obecnej przy jakiejś blondynce wesoło czas mu schodzi.. .

— Jezu kochany! a tobie co się stało Teofilku? krzyknęła wróżbiarka, spostrzegłszy wybladłego i okrytego błotem młodzieńca.

— Nic wielkiego cioteczko, to tylko dowód łaski zesłanej na mnie przez moją planetę w postaci rozhukanego byka, który chciał mię wprawdzie na domiar uprzejmości wziąść na rogi, ale ja poprzestałem na tem, żem został przezeń wtrącony do rowu napełnionego błotem.

Trzeba więc było przebrać się na nowo co do nitki, i kiedy operacji tej z wszelkim możliwem pośpiechem pan Teofil dokonał, ciotunia obejrzawszy go uważnie, zawołała:

— Wszystkiego narobiła czarna chustka na szyi. Mówiłam ci, żebyś czarnego koloru unikał, a ty w czarnej chustce wyszedłeś na miasto. Szczęście, że teraz wziąłeś kolorową krawatkę.

— Widzi bo ciocia, albo owa chustka stała się powodem wypadku albo i nie.

— Niezawodnie czarna chustka, już ja ci to mówię, możesz mi wierzyć.

— A buty cioteczko, buty także czarne? a nie mogę przecież nosić ani zielonych, ani żółtych, ani czerwonych butów....

— Dopóki nasi przodkowie chodzili w kolorowych butach mój miły, dopóty dobrze im się działo— odparła ciocia zaskoczona argumentem tak niespodzianym.

— A teraz widzi ciocia, chcąc nie chcąc, muszę iść w codziennym tużureczku, bo czarnego nowego strach brać dla tego że czarny, a więc pono fatalny dla mnie, więc lepszy kolorowy, zabłocony; a ten który teraz wziąłem już przyszarzany—rzekł zabierając się do wyjścia pan Teofil, a na jego minie malowało się strapienie niezmyślone.

— Nie suknia człowieka zdobi, ale człowiek suknię, odpowiedziała mu na to zacna ta istota, pocałowała go w czoło, pożegnała i wyprawiła na konkury uspokojonego prawie zupełnie.

Kiedy wybiegł młodzieniec na ulicę, na mieście już zmrok panował, nastała śliczna noc czerwcowa. W powietrzu czuć było aromat rozkwitłych bzów słychać było pienia słowicze dolatujące z ogrodów i zdala dolatywał wieczorny chór żab. Na firmamencie wytrysnęły miljony gwiazd, na które spojrzawszy pan Teofil, pomimowoli przypomniał sobie dwanaście znaków Zodyaku i wesoło się roześmiał, powtarzając w duszy:

„Baran idzie przed Bykiem, po Bliźniętach Raki,
Lew przed Panną uchodzi—to są letnie znaki,
Waga chłodzi z Niedźwiedziem, Strzelec zimnem grozi,
Koziorożec ląd wiąże, Wodnik Ryby mrozi."

— Chciałbym wiedzieć, gdzie też na sklepieniach niebios ma swoje siedlisko mój protektor Byk, żebym mógł się mu ukłonić przy tej okazji i podziękować za łaskawą pamięć o mnie.... myślał sobie

nasz bohater zbliżając się do domu, w którym przemieszkiwało jego bóstwo.

Musiał nieborak nasłuchać się też nie mało wymówek za opóźnienie, zastał bowiem całą rodzinę przy herbacianym stole zgromadzoną; dano mu zaś miejsce fatalne przy tym stole: po prawej ręce gospodyni domu, przed którą trochę na lewo stał potężny samowar i zasłaniał sobą lewą połowę twarzy bóstwa, które z tej racji tylko prawem okiem mogło odpowiadać na grę jego oczu. Za bóstwem siedziało dwóch aniołków, były to siostry bóstwa, dwa podlotki ze złośliwemi minkami. Za aniołkami siedział jakiś młody pan wykwintnie wystrojony, pan ze szkiełkiem w oku — za nim gospodarz domu, za nim studencik brat bóstwa, a pomiędzy nim i panem Teofilem, kilkoletni chłopczyk w wysokiem krzesełku.

W około stołu krążyła mamka z niemowlęciem na ręku i powtarzała: Stefciu! powiedz diaaa!

— Diaaa! powtarzało niemowlę, poruszając żywo blaszaną brzękawką, którą w rączce krzepko dzierżało.

Teofilowi zdawało się że dostał się do Nieba, chociaż samowar zasłaniał mu w połowie jego słońce, a pan ze szkiełkiem w oku tak mu się z pierwszego wejrzenia nie podobał, że widział w nim utajonego zbrodniarza, a to tem bardziej, że poważał się spoglądać przez swoje ohydne szkiełko na jego bóstwo, a nawet odzywać się do bóstwa z uwagami, których poziomego polotu nie mógł się dość nadziwić.

Po wypiciu szklanki herbaty, nasz bohater uczuł że go obemują poty i pojmując to dobrze, że konkurent spotniały jest śmiesznym, pomyślił sobie w duchu: niedoczekanie wasze żebyście mię zmusili wypić drugą szklankę i kiedy gospodyni domu wyraziła chęć uraczenia go właśnie drugą dozą herbaty, tak usilnie zaczął się wymawiać od traktamentu oburącz trzymając swą szklankę, że ojciec bóstwa zagadnął go:

— Chyba pan nie lubisz herbacjusza?

Jeszcze nie zdobył się na odpowiedź, gdy malec siedzący obok niego w wysokiem krzesełku, ozwał się na cały głos:

— Mamulku! cy ten pan nazywa się hełbacjus?

— Jasiu, nieodzywaj się! zawołała matka.

Prawe oko bóstwa zniknęło w tej chwili za samowarem, a aniołki podlotki zachichotały.

— Mamulku! ja chcę żeby ten pan nazywał sie hełbacjus.... niezrażony przestrogą malec powtórnie się wyjęzyczył.

— Jasiu, milczeć, bo pójdziesz od stołu! krzyknął ojciec rodziny.

Bóstwo zupełnie znikło za samowarem, ze strony podlotków ozwało się chi! chi! chi!—chi! chi! chi!.... a na pana Teofila wary uderzyły... jegomość ze szkiełkiem w oku, także śmiał się.... śmiał się bez ceromonji.

— Dobrze kochany Jasiu, nazywaj mię Herbacjuszem i bądź moim przyjacielem, nabrawszy męztwa rzekł pan Teofil do malca, i na chwilę zażegnał burzę. Powaga wróciła na twarze obecnych, prawe oko bóstwa wyjrzało z za samowara—a malec przychyliwszy się do swego nowego przyjaciela, dał mu w dowód przyjaźni do pokosztowania swój sucharek, którym przed chwilą czynił jakieś poszukiwania w swym nosku. Trzeba było koniecznie przyjąć częstunek, pochwalić smak i podziękować. Z heroiznem godnym uwielbienia dopełnił tej ponętnej akcji młodzieniec i miał tę nagrodę, że i lewe oko łącznie z prawem ukazało się z za samowara i bóstwo spojrzało na niego z wyrazem zadowolenia.

Już pan Teofil zaczął przychodzić do siebie, już udało się mu powiedzieć parę dowcipów, które powszechną wesołość wywołały w towarzystwie, gdy mamce krążącej w około stołu z niemowlęciem, przyszło do głowy że tak przystojny młody pan, co tak czule spogląda na najstarszą panienkę i tak wesoło umie się odzywać, zasłużył i od niej na honorowe uznanie. Zbliżywszy się więc do młodzieńca i pochylając w jego stronę dziewczynkę, rzekła:

— Stefciu! powiedz panu, diaaa!

Pan Teofil przechyla głowę ku Stefci, Stefcia mówi mu diaaa! i jednocześnie wymierza tak skuteczny cios blaszaną brzękawką w czoło, że nieborak aż podskoczył na krzesełku, syknął z bólu i schwycił się ręką za miejsce rażone.

— Stefciu! powiedz panu diaaa, zaraz powiedz, niegrzeczna jesteś, zawołała mamka chcąc załagodzić sprawę.

— Diaaa! rzekła Stefcia.

— Dia!, odparł na wpół z płaczem Teofil, lecz w tejże chwili czując że mu się coś pali w kieszeni zerwał się jak opętany z krzesełka. A rzeczywiście buchał mu dym z kieszeni tużurka i odor fosforu i siarki napełnił cały pokój. Nieborak wracając tego dnia z miasta, kupił paczkę zapałek i wychodząc na wizytę, zapomniał wyjąć je z kieszeni codziennego swego ubrania. Kiedy zaś dostał brzękawką cios w czoło i poskoczył na krzesełku, zapałki zajęły się ogniem.

Pożar w kieszeni ugaszono za pomocą kilku szklanek wody tam wlanych—ale niestety nie ugaszono udręczenia, wstydu i rozpaczy jakie ogarnęły pogorzelca... z pałającem czołem, szumem w uszach i wściekłością niedoopisania, wybiegł on na ulicę, przeleciał miasto, wypadł na pola, i tam aż do świtu błąkał się...

W kilka dni po całem mieście opowiadano przygody, jakie dnia owego spotkały pana Teofila, bo i zajście z rozhukanym bykiem na mostku, nie pozostało w tajemnicy — a na domiar okropności zaczęto ogólnie nazywać go Herbacjuszem.

— Oto idzie pan Herbacjusz! powtarzano sobie pokazując go palcem na ulicy.

Bóstwo zaś, okrutne bóstwo przy spotkaniu się udało, że go nie widzi wcale — nieodkłaniało się mu nawet.

Zmartwił się tedy tym ostatnim ciosem do tego stopnia, że przychorował—a po przyjściu do zdrowia opuścił swoje rodzinne miasto, przenosząc się w odległą prowincję.

Wyjeżdżając zaś, te słowa powiedział do swej krewnej:

— Kochana ciotuniu, zaklinam cię, zaniechaj wszelkich prognostyków i praktyk wróżbiarskich. Widzisz we mnie ofiarę ich, a sama wiesz żem tylko co życiem próby nie przypłaciłem. Bo tylko sama pomyśl ciotuniu: żebym owego wieczora wybierając się na herbatę nie stracił czasu na słuchanie twych wróżb i prognostyków i horoskopów, tobym nie spóźnił się z odwiedzinami, nie napadłby mnie byk rozhukany, bo szedłbym nie zaułkiem który wybrałem dla uniknienia prze-

chodzącej mi drogę baby z próżnemi wiadrami, ale ulicą ludną i właściwą; nie wpadłbym do rowu, nie miałbym przygody z zapałkami, bo wyszedłbym w innym tużurku a nie w tym, w kieszeni którego owe zapałki się znajdowały; zgoła uniknąłbym tych wszystkich nieprzyjemności, które mnie z mego rodzinnego miasta dziś wypędzają.

Że zaś stanowczo przyszedłem do tego przekonania, że wszelka wiara w feralne dni, znaczenie snów lub horoskopy i przepowiednie, jest szkodliwym przesądem mogącym ważne nieszczęścia spowodować i na całe życie człowieka wpłynąć fatalnie, postanowiłem nie tylko sam wyrzec się tych przesądów i guseł, ale o ile mi możność dozwoli wytępiać je gdzie tylko zdarzy się spotkać. Na pierwszy początek ciotuniu, projekt podróży w inne strony, powziąłem w poniedziałek. Plan przyszłego trybu postępowania ostatecznie obmyślałem w piątek. A dziś, także w dniu poniedziałkowym, ubrany w czarne odzienie wyjeżdżam i mam to niezłomne przekonanie, że bez Bozkiej woli i dopuszszenia, włos z głowy mi nie spadnie. Kto myśli że dzień feralny, lub sen jakiś, lub barwa jakaś, albo planeta, więcej mogą wpływać na losy ludzkie niż Opatrzność, ten jest bałwochwalcą, bluźniercą i człowiekiem słabego umysłu. Daruj ciotuniu gorycz z jaką się wyrażam, ale żal uwagi nie ma. Wiem dobrze ciotuniu, że po chwili zastanowienia się przyznasz mi rację, pluniesz na sny i kabały, i zaniechasz praktyk, które ani twemu sercu szlachetnemu, ani twej jasnej główce ciotuniu zaszczytu nie czynią.

Ciotunia setnie się spłakała, młodzieniec w świat ruszył, ale trzeba oddać tę wielką zasługę ciotuni, że niebawem po wyjeździe siostrzeńca wszystkie senniki, kabały, karty pasjansowe w ogień rzuciła i stała się gorliwą tępicielką zakorzenionych przesądów i guseł, jakich nie mało daje się widzieć w naszem towarzystwie.

Tymczasem lata upływały: ciotunia zgasła, bóstwo pana Teofila zostało żoną owego jegomości ze szkiełkiem, pan Teofil w obcych stronach pokochał zacną panienkę, w piątek jej się oświadczył, w poniedziałek wziął z nią ślub—i szczęśliwie życie pędził.

Listy z podróży na wystawę paryzką.

I.

Berlin, 24 Kwietnia 1867 r.

W trzecie święto Wielkiejnocy to jest wczoraj, o godzinie w pół do drugiej po południu, wsiadłem do wagonu w Warszawie. Serce mi biło gwałtownie. Zdawało mi się że jeszcze w ostatniej chwili coś odwlecze mój wyjazd, albo zupełnie w niwecz obróci mój zamiar. Stało się jednakże inaczej. Lokomotywa świsnęła... ruszyliśmy.

W chwilę potem mignęły mi się tylko przed oczyma rogatki jerozolimskie i dziwnie mi się zrobiło w duszy.

Nieraz już wyjeżdżałem z Warszawy, lecz zawsze na czas krótki i zawsze niebardzo daleko. Nigdy też nie doznawałem takiego wrażenia jak w tej chwili, gdy mi przyszło pożegnać rodzinną siedzibę, oddalając się od niej o paręset mil, wyjeżdżać z kraju własnego pomiędzy innych ludzi i inaksze obyczaje. Pomimo radości z dopięcia mojego zamiaru, czułem jakąś przykrość i boleść jak dziecko, co chociaż biegnie rade za dom za zabawą, tęskni jednak wychodząc i z progu jeszcze na matkę swoją się ogląda.

Im prędzej przecież leciał nasz parochód, tem łatwiejszy przystęp do mej głowy i myśli znajdowała ta myśl pocieszająca, że chociaż jadę daleko, jednak mam nadzieję powrócić; a jadę po naukę, jadę ażeby poznać świat i jego cuda, i powrócić do kraju z głową obfitszą w wiadomości, z ręką zdolniejszą do pożytecznej a uczciwej pracy.

Wkrótce z promieniem słońca, które wyjrzało z po za chmury i myśl weselsza powróciła. Byłem dumny z siebie i ledwie wierzyłem swemu szczęściu. Prosty i biedny czeladnik ślusarski, jechałem na wystawę paryzką, na którą z wszystkich stron świata śpieszą ludzie pragnący odnieść tę korzyść, jaką da może pilne obejrzenie zgromadzonych w jednym gmachu płodów przemysłu i sztuki wszystkich narodów kuli ziemskiej.

Jakim sposobem do tego przyszło, że jadę na wystawę i za czyje jadę pieniądze, jest to długa historja, którą mnie wielka ochota bierze opowiedzieć tu na początek, kiedy już pan Redaktor Opiekuna Domowego taki łaskaw, że żąda moich listów i nie zważa na to, że moja ręka do pióra niedość delikatna, a tylko wymaga, żebym opisywał szczerze to co myślę i to co zobaczę.

Nie jadę do Paryża za swoje pieniądze bynajmniej. Zbyt jestem biedny, żeby sobie tego zbytku pozwolić. Jadę kosztem warszawskiej kassy oszczędności, która każdemu kto tylko zechce, gotową jest dostarczyć pieniędzy na wykonanie rozsądnych i pożytecznych projektów, byle się tylko tak z nią zaprzyjaźnił, jak ja się zaprzyjaźniłem.

Na dowód, że tak jest jak powiadam i że mnie kassa oszczędności do Paryża na wystawę wysyła, miałem ochotę załączyć do tego listu moją książeczkę, lecz że przedrukowanie jej w całości zawieleby zabrało miejsca w Opiekunie, więc tylko powiem jak to było, a książeczkę podam w streszczeniu.

W czasie wielkiej wystawy powszechnej w Londynie, pierwszej tego rodzaju na całym świecie, byłem piętnastoletnim chłopcem, jeszcze nie wyzwolonym na czeladnika. Lubiłem już wtedy czytać książki i gazety, i z gazet właśnie dowiedziałem się o tej wystawie. Niepodobna mi opisać jaka gorączka mnie opanowała naówczas, że do Londynu pojechać nie mogę. Byłbym może uciekł z terminu i puścił się na wędrówkę z węzełkiem na plecach, gdyby mnie nie odstręczało to, że do Anglji inaczej niepodobna się dostać jak morzem.

— Lądem to jeszcze — myślałem sobie — tu i owdzie się grosz zarobi i dojdę choć o suchym kawałku chleba, ale z morzem nie ma żartów.

Musiałem tedy dać za wygraną, ale nie zrzekłem się całkiem mej myśli.

— Takie wystawy — mówiłem do siebie, — będą bywały częściej, kiedy już raz taką zrobiono. Wszędzie tylko początek trudny. Więc kiedy niepodobna pojechać na pierwszą, to można będzie pojechać na drugą, tylko trzeba do puszki uskładać pieniędzy.

Kupiłem puszkę, zacząłem do niej składać grosze i trojaki, a tymczasem po nocach śni mi się pałac kryształowy, a w nim najróżniejsze różności.

Trudno było zebrać pierwszą złotówkę. Nieraz brała pokusa stłuc puszkę i kupić serdelków. Niedałem się jednak pokusić.

— Wara tobie od tych pieniędzy Józefku — mówiłem sobie, — to są zaklęte pieniądze. Wystaw sobie, że kupiłeś coś chciał i obejdź się smakiem.

Gdy z groszy zrobiła się złotówka, pokusa stawała się silniejsza. Zacząłem niedowierzać sam sobie.

— Jak ze złotówki zrobi się rubel, a z rubla kilka rubli—myślałem,—to się i skuszę wydać to wszystko, choćby nie na jadło to na jakie eleganckie ubranie i będzie kwita z podróży do kryształowego pałacu!

Zacząłem przemyśliwać, jakby te pięniądze schować przed samym sobą i przypomniała mi się Kassa Oszczędności. Zaraz następnej niedzieli zaniosłem do niej pierwszą złotówkę. I wiecie państwo co z niej wynikło? Oto dziś jadę do Paryża nie za moje pieniądze, *lecz za procent od moich pieniędzy*, chociaż od 1851 r. składałem po złotówce, po dwa, trzy, cztery, a bardzo rzadko po pięć złotych tygodniowo, nigdy więcej, i to nie ciągle, bo były całe lata w których nie złożyłem więcej jak 2 rs. 70 kop., chociaż sześć razy w ciągu tego czasu zmuszony byłem odbierać z uskładanego grosza to po kilka, to po kilkanaście i kilkadziesiąt, a raz nawet aż 110 rubli, a to z przyczyny to choroby, to wypadków, to interesów, o których zbyt dużo byłoby pisać w tym liście.

Wiem, że niejeden czytając to z niedowierzaniem pomyśli że się chwalę tylko, i dla tego chciałem tutaj przysłać całą moją książeczkę na dowód, że w tem co mówię ani słowa nie skłamałem. Ale po co całą książeczkę przepisywać, kiedy i z tej oto tabliczki jaką załączam widać dokładnie ilem złożył, ilem odebrał i ile mi przyrosło procentu, co zresztą kto ciekawy nawet w kassie Oszczędności sprawdzić może.

	złożyłem rs.	kop.	odebrałem rs.	kop.	procent rs.	kop.
w roku 1851	6	30	—	—	—	13
— 1852	15	60	—	—	—	56
— 1853	27	—	—	—	1	44
— 1854	31	20	—	—	2	66
— 1855	32	55	—	—	4	4
— 1856	33	—	7	50	5	38
— 1857	39	—	28	—	6	34
— 1858	37	50	—	—	7	55
— 1859	29	40	8	10	9	4
— 1860	31	80	110	—	8	26
— 1861	24	—	—	—	7	49
— 1862	31	20	—	—	8	89
— 1863	2	70	67	50	8	2
— 1864	15	60	—	—	7	91
— 1865	29	70	75	—	7	63
— 1866	19	20	—	—	7	41
— 1867	4	50	—	—	—	—
Razem	410	25	296	10	92	75

Te wszystkie cyfry wykazują, że z uskładanych przez lat szesnaście 410 rs. 25 kop. miałem kiedym chciał znakomitą pomoc bez uciekania się do lichwiarzy i jeszcze dzisiaj pozostało mi w kasie 114 rs. 15 kop., nie licząc wcale procentu. Pieniędze które sześć razy odbierałem, uczyniły mi w życiu wiele, wiele dobrego. Im to zawdzięczam, że dziś mogę się uważać za zamożnego człowieka, mienie bowiem moje nie ogranicza się na tem co mam w Kasie Oszczędności. Przeciwnie, mimo przyjaźni mojej dla niej, nie lubię w niej trzymać zbyt dużo i kiedy mogę korzystniej użyć pieniędzy, to je bardzo chętnie odbieram.

Wszystko to, cały mój dobry byt dzisiejszy, zawdzięczam Kasie Oszczędności.

Powie kto może, że to jest owocem mojej zabiegłości, umiejętnego i szczęśliwego użycia grosza, że instytucji samej nie mam nic do zawdzięczenia, lecz ja się na to bynajmniej nie zgodzę. Składałem do kassy pieniądze, które chciałem oszczędzić, a których inaczej użyć korzystnie nie mogłem. Była to tylko przezorność moja: chleb, którego nie mogłem zjeść dzisiaj, odkładałem sobie na jutro, tak jak rządny człowiek robić powinien. Za to nie należała mi się żadna nagroda, a tymczasem kassa Oszczędności dała mi za to, jedynie tylko rs. 92 kop. 75!... Nie jest że to instytucja wyborna?

Czytałem nieraz w gazetach, że we Francji dają tak zwane nagrody Monthyona. Nagrody te udzielają się za cnotę. Otóż jeżeli oszczędność jest cnotą —a jest nią niezawodnie, byleby nie była skąpstwem i zakamieniałością dla ludzi, to i my mamy także nagrody Monthyona. Daje je kassa Oszczędności — ja sam jedną z takich nagród dostałem i szczerze jestem z niej dumny.

Bez ruszenia tedy grosza z pieniędzy które sobie składałem, ażeby pojechać na wystawę, jadę na wystawę. Pragnienie moje spełnia się, bez żadnej ofiary z kieszeni. W dodatku oszczędność do której się wdrożyłem, uczyniła mnie zamożnym;—w dodatku wykształcenie moje jest wyższem niż zwykle u ludzi mojego stanu, bo myśląc ciągle o tem, że pojadę za granicę żeby wystawę świata zobaczyć, mając w oszczędzonym groszu pomoc gdy jej potrzebowałem uczułem potrzebę nauczenia się przynajmniej po francuzku i po niemiecku, żeby mnie nie sprzedali (jak to mówią) niemcy i francuzi; ucząc się języków czytałem książki, czytając książki zapamiętałem to i owo.

Wszystko to w dodatku do nagrody za to, że byłem oszczędny i pamiętałem o sobie.

Nie byłem pewny czy dobrze użyję tych pieniędzy, które mi kassa Oszczędności dała za to, żem niemiał zwyczaju trwonić marnie ostatniego grosza zarobku—jeśli za te pieniądze pojadę na wystawę paryzką. Poradziłem się więc kilku znajomych majstrów i fabrykantów, —powiedzieli mi, że jestem dostatecznie usposobiony, ażeby skorzystać na zwiedzeniu świata i jego wielkiej wystawy, zachęcili mnie do wykonania zamiaru i dali listy rekomendacyjne do różnych miejsc, do ludzi zajmujących wysokie w świecie przemysłowym stanowiska. Opowiedziałem myśl moją panu Mieczyńskiemu, redaktorowi Opiekuna, a pan Mieczyński zacierał ręce i cieszył się, mówiąc, że nam takich rzemieślników potrzeba i dał mi także parę listów, a mając jako jeden z wystawców prawo do bezpłatnego biletu na cały czas wystawy, przekazał to prawo na mnie, gdyż sam nie miał zamiaru jechać do Paryża.

Wszystkie te pochwały, wszystkie te zachęty, wszystkie te ułatwienia spotykają mnie za to, że myślałem o przyszłości, o jutrze, o sobie.....

Doprawdy wstyd mnie to wszystko przyjmować. Cóż ja takiego zrobiłem, czegoby ktobądź inny nie potrafił zrobić.

Oto przez ciąg lat 16 uskładałem sobie w kassie Oszczędności razem wszystkiego 114 rs. 15 kop., (bo com odebrał potrącić trzeba). Przez lat 16 odkładałem na stronę średnio po $7^1/_2$ rubli 13 kop., po złotówce i kilka groszy na tydzień!... Jest tu za co człowieka chwalić?... Mojem zdaniem, ja na jedną tylko prawdziwie zasłużyłem pochwałę własnego przekonania, które mi mówi, że na żadnym groszu z moich pieniędzy krzywda ludzka nie cięży,—że każdą chwilę którą pracy mogłem poświęcić, poświęcałem pracy,— i że wszystkiego czego miałem sposobność nauczyć się, chciałem i starałem się nauczyć. Pełniłem obowiązek jak umiałem, a że mi ludzie pomagają i że mnie chwalą, to już ich dobroć nie moja zasługa.

Składam list, ażeby wyjść na miasto. Naturalnie niepiszę nic o zagranicy, bo dopiero od kilkunastu godzin opuściłem kraj. Zabawię w Berlinie z tydzień jaki i ztąd może jeszcze przyślę list drugi. *Józef Niepowie.*

WRAŻENIE POETYCZNE STAREGO PROZAISTY

dnia 7 (19) Marca 1867 r. w Kijowie.

Tak mię uradowała wizyta Leosi,
Że pióro gwałtem do rymu się prosi,
Chcąc rój mych myśli w uczucia bogaty

Jakby w świąteczne poubierać szaty;
Trzebaż mu gwoli nieskąpić gotówki
I postarać się o dobre końcówki.

To co zwyczajne, myśli niezajmuje,
Nudzi, przesyca, dobry humor psuje —
Taką jest proza: w niej człowiek się nurza
Codzień po uszy.—

Co innego burza
Taka, jak wczora! Fenomen wspaniały,
Co hurmem wściekłych wichrów napełnił świat cały,
By uprzątnąć co puste, przekwitłe lub zgniłe,
Dał poznać temu światu twórczą jego siłę. —
Tą siłą właśnie poezja.—

Gość rzadki,
Sierota po Adamie, bez ojca, bez matki,
Długo on żył wśród głazów i żył w poniewierce,
Aż znalazł z Bożej łaski macierzyńskie serce;
Serce, w którem jak w tęczy wszystkie kwiatów farby,
Mieszczą się najobfitsze poezji skarby.

Z burzy wczorajszej, jak z haosu łona
Wykwitła dla mnie Poezja wcielona:
Mam ją przed sobą, gonię za jej ruchem,
Czuję ją równie zmysłami, jak duchem,
Od pocałunków które rąk jej dotykały,
Usta me jeszcze drgać niepoprzestały...

O Boże! coś mi zesłał takie objawienie,
Gdzież godne znajdę słowo na Twe uwielbienie?
Słowa niema, więc przyjmij choć jedno westchnienie;
Wierzę, żeś nam skruszonym zgotował zbawienie,
Jak wierzę, że Poezja co głazy porusza,
To serce Grzegorzowej, to Leosi dusza. —

Benedykt Dołęga.

ŁOWIENIE RAKÓW.

Pospolity sposób łowienia raków, jest albo na *żaby* obdarte ze skóry, które przywiązane do kija wstawiają się w wodę u brzegu strugi, a gdy raki do tego żeru przyjdą i uczepią się takowego, wtedy kij z lekka ostróżnie podnosi się, pod który wraz podsuwa się *saczek* siatkowy, i z tym wyciąga raki wpadłe w worek siatki; albo też wyszukuje się ich w *norach* pobrzeżnych i ręką ztamtąd wydobywa. Ten drugi sposób jest mniej dogodny, bo wymaga brodzić w wodzie nieraz i po szyję, a w czasie zimnym długo w niej zostawać nie dozwala.

Łatwiejszy i prostszy od tych sposobów, jest inny nader praktyczny następujący: W *kosz*, lub *więciorek* z prętów rokitowych zrobiony, albo inną plecionkę, jak *opałkę*, *kołyskę*, włożyć *grochowin*, i ten przybór ustawić w przybrzeżną wodę, gdzie się raki poławiają. Grochowin nie dużo wkładać, aby raki łatwiej we środek włazić i zaplątać się mogły. Po pewnym przeciągu czasu, gdy już można się spodziewać że tam się znajdują, wyjąć kosz i wybierać połów. Oto cały sposób niezawodny.

Dla lepszego przynęcenia raków, włożyć w grochowiny *kopru*, który one bardzo lubią i do zapachu jego z nor swoich wyłażą. Można także i *mięsa* cuchnącego, lub *żabę* tam na przynęte wsadzić. Na głębszej wodzie żeby poznać czy raki już są w koszu, żeby tego na próżno nie wyjmować z wody, potrzeba do niego przywiązać kij, i z tym wstawiać, którego dotykanie nad wodą, da uczuć szamotanie się raków w koszu. Im silniejsze okaże się to ruszanie, tym więcej ich tam i dużych będzie do wzięcia.

Kształt *kosza* okazuje Figura 1, *więciorka* Fig. 2, *opałki* lub *kołyski* Fig. 3. Zaś Figura 4 przedstawia *saczek* z siatką na obręczce osadzoną do kija przywiązany. Jest to lepszy sposób, jak pierwszy na początku tu opisany. Skład jego jest następujący: *a*, *b*, kij do którego saczek czyli koszyk siatkowy jest przywiązany; *c* koszyk okrągły z siatki, na obręczkę naciągniętej; *d*, *e*, pręt przez środek koszyka w dwóch miejscach tegoż i do kija przywiązany; *g*, *d* szpagat wiążący brzeg koszyka *d*, z kijem dla utrzymania go w położeniu poziomem i umocowania, żeby przy wyciąganiu z wody zawsze trzymał się równo jak był wstawiony; wreszcie *h*, przynęta na środku pręta poprzecznego przywiązana z żaby, lub mięsa i kopru. Tak przyrządzony koszyk wstawia się w wodę, a gdy raki do niego powłażą, wtedy wyciąga się raptem, w który za poruszeniem uciekające opuszczają się i tak zostają w siatce. Mając kilka takich koszyków nastawianych, chodzi się tylko po brzegu rzeki i wybiera połów. Tym tylko sposobem, z głębszej wody na sążeń i więcej, gdzie są duże raki a trudno ich ztamtąd inaczej dostać, wygodnie można sobie łowić z czółna bez zamaczania się i fatygi.

Benedykt Aleksandrowicz.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu J. z Warszawy* Utwory pańskie wierszem i prozą tchną młodością; jest tam dosyć uczucia poczciwych myśli, ale nie ma cechy wytrawności i dla tego w Opiekunie Domowym drukowane być nie mogą.

— *Panu..... prenumeratorowi z Dąbrowy Górniczej.* Życzeniu pańskiemu o nadesłanie brakujących Nr. 13, 14, 15 i 16 Opiekuna Domowego z r. z. zadosyć uczynić niejesteśmy w możności, dla tej prostej przyczyny, że nie jesteśmy w stanie odczytać niewyraźnego jego podpisu, a tem samem niewiadomo do kogo mamy adresować.

— *Przyjacielowi Opiekuna, w Pyzdrach.* Pytanie które nam zadajecie, jest wistocie ciekawem, z łatwością jednak może być rozwiązanem przez doświadczenie, jak również teoretycznie. Powtarzamy je tutaj, pragnąc odpowiedź naszą uczynić dla czytelników zrozumiałą.

„Jeżeli w zimie otworzyć drzwi od pokoju dobrze ogrzanego do pokoju zimnego, część ogrzanego powietrza musi przejść do pokoju zimnego, a część oziębionego do ciepłego, aby się temperatura zrównoważyła. Idzie o to: czy powietrze zimne wprzód przechodzi do pokoju ciepłego, czy przeciwnie?“

Sama natura rzeczy wskazuje, że oba te prądy odbywać się muszą równocześnie. Ponieważ powietrze ciepłe jest lżejsze, więc górną częścią drzwi ciepłe powietrze wchodzić będzie do pokoju zimnego, a zimne dolną częścią wciskać się musi do ciepłego pokoju. Prądy te będą coraz słabsze w miarę równoważenia się temperatury, a gdy to nastąpi ustaną zupełnie.

Sprawdzić to można doświadczeniem, stawiając przed otwarciem drzwi rozdzielających dwa pokoje jedną świecę w dolnej ich części, drugą w górnej. Przechylenie płomieni jakie za otwarciem drzwi nastąpi, wskaże najdokładniej kierunek górnego i dolnego prądu.

— Panu J. N. z ulicy Leszno. Złudzony polskiem brzmieniem wyrazu *marcypan*, bez którego wszakże *może się obejść cygańskie wesele*, zapytujesz nas o pochodzenie.

Odpowiadamy: Pozory często mylą, tak i w tym razie.

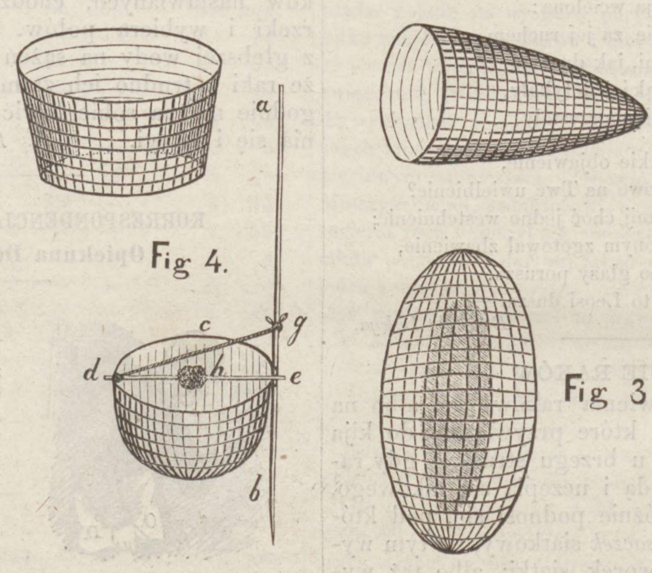
Za czasów Cesarstwa Rzymskiego w pierwszych początkach Chrześcijaństwa, był powszechny zwyczaj odwiedzania znajomych krewnych, a nawet składania panującym różnej wartości upominków. Do ich liczby należały głównie tak zwane *sigillae*, to jest figurki z gliny, srebra lub złota, z wosku lub szkła, wyrabiane z nadzwyczajną dokładnością, tak że trudno było na pierwszy rzut oka rozróżnić woskowe np. od prawdziwych jabłek, gruszek i winogron. Otoż w Wenecji cukiernicy wyrabiali figurki z ciasta cukrowego nadając im postać Św. Marka, odtąd przezwano je chlebem Świętego Marka czyli *marcypanem* (Marci panis).

— *Panu K. S Kawalerowi na wydaniu, podróżującemu ciągle po powiecie Włoszczowskim i Kieleckim, szukającemu żony.* Oświadczamy na zapytanie: że chociaż Pan napisałeś „*kobieta to puch marny, to wietrzna istota*,“ ależ i pan masz wielką ochotę do złota, a na tym naszym świecie, ludzie się bogacą: szczerością, poczciwością, nauką i pracą.

— *Panu Z. Ż.* na Bednarskiej ulicy. Po dziś dzień nauka nie zbadała jeszcze dostatecznie zjawiska znanego pod nazwą *gwiazd spadających*. Jedni uczeni mniemają, że jest ono skutkiem elektryczności, inni i tych daleko większa liczba, uważają je za meteory czyli aerolity, które niekiedy i na ziemię spadają w postaci mniej lub więcej ciężkich brył kamiennych. Co zaś do pochodzenia tych ostatnich, prawdopodobnie są one cząstkami jakichś planet lub gwiazd krążących po wszechświecie.

ROZMAITOŚCI.

— **Przechowanie mięsa** świeżego na dni parę w porze roku ciepłej, ażeby się nie psuło zwłaszcza podczas lata, z trudnością przychodzi tam, gdzie nie ma *lodowni* lub zimnej *piwnicy*. Nawet i w takiem schowaniu, mięso na drugi i trzeci dzień już nie ma dobrego smaku, a chociaż niezepsute, trąci jednak stęchliną, co się udziela z zamkniętego nieodświeżanego powietrza. Doświadczenie przekonało, że świeże mięso powieszone w cieniu i miejscu bez żadnego okrycia wystawionem na przewiew wiatru, przeciągiem tym powietrza obsuszone z lekka, będąc pociągnione własną kleistą *powłoką*, jak przekrojona cytryna, przez parę dni wybornie tak się przechowuje, nie tracąc smaku ani świeżości. Wieszać można na ścianie domu, od strony gdzie słońce niedochodzi i gdzie kot niedostanie. Próba nie kosztowna i łatwa do wykonania. Nie potrzeba tu moczenia w occie, nakładania kamieniami i innych zaradczych środków.



Przyrządy do łowienia raków (str. 151).

— **Główny sklep obówia** istnieje w Warszawie przy ulicy Długiej. O sklepie tym, w drugim zeszycie godnej rozpowszechnienia książki p. t. *Pomoc własna* piszą: „Każdy szewc znany właścicielowi sklepu (gdyż jest to niestety! dopiero zakład prywatny), gdy posiada gotową parę butów, może takową złożyć w sklepie czyli w składzie pomienionym, do którego hurtowni kupcy z prowincji przybywają i w którym zakupy czynią. Majstrowie tacy mogą otrzymywać zaliczenia i korzystać z kredytu, otwartego im w czterech składach skór dla ich dogodności w różnych punktach Warszawy urządzonych. Skład ten prywatny znajduje się w stanie kwitnącym i zasługuje aby zmieniony był na instytucję publiczną.“ Wówczas zakres jej działania o wiele się rozszerzy, zyska większe zaufanie u ogółu handlujących skórami i większe oddać będzie mogła usługi całemu licznemu zgromadzeniu szewckiemu. Pożądanem byłoby aby i inni rzemieślnicy pośpieszyli się z zakładaniem takich *głównych* sklepów, wielce przydatnych także dla bednarzy, blacharzy, czapników, gwoździarzy, jubilerów, kapeluszników i innych. Mogliby i oni także korzystać z kredytu przy nabywaniu materjałów surowych, dostawać zaliczki na wykonaną już robotę, a co więcej uniknąć potrzeby najmowania drogich sklepów, które większą część ich zysków pożerają niemal ze szkodę tak majstrów, dla drożyzny niemających wielkiego odbytu, jaki publiczności zmuszonej płacić drogo, dla tego że każdy majster chce mieć paradny sklep i płacić zań musi drogo.

Myśli i Zdania.

Rzetelność, i narody i ludzi bogaci;
Oszustwo,— raz zyskuje
[dziesięć razy traci.

Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*w Saskim ogrodzie*).

Pan Antoni. Kochany Jasiu! jak to dobrze że cię spotykam! Powiedz no mi ile ja ci winienem?

Jaś. No.... alboż to nie pamiętasz?...

Pan Antoni. Owszem... owszem.... tylko widzisz, żeby niewybiegło z pamięci, rachunek przedewszystkiem.... na pierwszego było dwa ruble.

Jaś. Tak...

Pan Antoni. Czwartego dodałeś mi dwanaście złotych....

Jaś. W istocie.

Pan Antoni. W przeszłą niedzielę, wziąłem pół rubla.

Jaś. Rzeczywiście.

Pan Antoni. No.... a wczoraj zapłaciłeś moją dorożkę czterdzieści groszy...

Jaś. Czyż to będziesz liczył?

Pan Antoni. Wszystko liczę... Sumienność przedewszystkiem. No więc ile to razem?

Jaś. Dwa ruble, dwanaście złotych, półrubel, czterdzieści groszy... razem *okrągłe* trzydzieści złotych. Ale czemuż to liczyć? czy chcesz mi oddać?

Pan Antoni. Nie, ale proszę cię pożycz mi jeszcze pułrubelka, to będzie *okrągłe* pięć rubli.

Sprostowanie. — W Numerze 16-m naszego pisma z r. b. w artykule „*O Poście*“ zaszły pomyłki drukarskie, które szanowni czytelnicy sami sprostować raczą: i tak na str. 122 w szpalcie I wierszu 2, zamiast *jejunfum* powinno być jejunjum; w szpalcie 2-ej wierszu 50, zamiast *zakazane* ma być nakazane; dalej w wierszu 56 szp. 2-ej po wyrazie *wiosenne* należy wypuścić literę *i*; w wierszu ostatnim, szpalcie 2-ej, po wyrazie *winien* wypuścić literę *z*; w wierszu zaś 33 na stron. 123 w szpalcie I-ej, po wyrazie przestępstwa, zamiast *mniej* należy czytać niemniej.

---

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.